

## O cyganach i katastrofistach (1)

Wspólny pokój przy ulicy Dobrej w Warszawie zrobił nie byle jaką karierę. Kiedy przed kilkunastu laty zamieściłem w „Wiadomościach” krótkie o nim wspomnienie, anim się mógł spodziewać, że z biegiem czasu potoczy się prawdziwa lawina przyczynków, artykułów, ba, książek, częściowo lub w całości poświęconych pokojowi, wynajętemu pewnego majowego popołudnia 1934 roku przez trzech młodych literatów. Byli to - Bronisław Ludwik Michalski, Stanisław Piętaś i Józef Łobodowski. Wkrótce dołączył Henryk Domański. Z tej czwórki tylko ja jeden pozostałem przy życiu.

Prawda, zjawił się również Wacław Mrozowski, ale tego nie biorę pod uwagę, gdyż nigdy nie był pełnoprawnym lokatorem, „waletował” jedynie przez jakiś czas. Najważniejsze, że nie brano go na serio, tolerowano zaledwie, kręcił się na literackim i przyjacielskim marginesie i do prawdziwej konfidencji nie był dopuszczany. Przysłowiowe piąte koło u wozu.

W kraju weszło już w zwyczaj pisać o mieszkańcach „wspólnego pokoju” i najbliższych im rówieśnikach jako o poetach z „kręgu Czechowicza”. Tak właśnie końcową i najdłuższą część swoich „Ballad przed burzą” nazwał Wiesław Szymański. Sądzę, że to nieporozumienie. Oczywiście, wpływ Czechowicza był niewątpliwy - na jednych trwały, na innych przelotny. Ale ważnych kręgów poetyckich było więcej, stykały się ze sobą, zachodziły jeden na drugi i rzadko kiedy wykluczały się nawzajem.

Bliskie stosunki osobiste z autorem „Dnia jak codzien” nie zawsze były równoznaczne z bezkrytycznym poddaniem się jego wpływowi. Satelitów mu nie brakowało, co nie znaczy, że stał się planetą dla wszystkich. Michalski np. skryształizował się poetycko, zanim poznał Czechowicza i jego poezję. Piętaś zawdzięcza mu to i owo, zgoda, tym niemniej szedł od początku własną drogą i, niezależnie od tego, jak jego lirykę ocenimy, stanowił swój własny krąg, mocno zindywidualizowany i samowystarczalny.

Czy warto raz jeszcze pisać o „wspólnym pokoju” na Dobrej i o tym prawdziwym, czy wyimaginowanym „kręgu czechowiczowskim”? Chyba tak, gdyż dokoła tej sprawy narosło zbyt wiele legend i fałszywych interpretacji. Z tym jednak, że przy okazji warto tematykę rozszerzyć, obejmując możliwie największy wachlarz nazwisk i zjawisk. Dzieje „wspólnego pokoju”, owszem, ale na tle tego, co działo się w młodej poezji w Warszawie i poza Warszawą. A działo się w owych latach sporo rzeczy interesujących nie tylko dla historyka literatury - również dla socjologa.

## **Preliminaria lubelskie**

Poetyckie początki Czechowicza łączą się ściśle z Lublinem. Był najmłodszym członkiem grupy „Reflektor”. Zapowiadało się bardzo ciekawie i skończyło krótkotrwałym fajerwerkiem. Po Grędzińskim została garść niezłych, a nawet tęgich wierszy - bez dalszego ciągu. Tylko jeden Czechowicz poszedł dalej i stanął w pierwszym szeregu poetów dwudziestolecia.

Na początku lat trzydziestych wydawało się, że Lublin zdobędzie się na własny ośrodek literacki z widokami na trwałość i kontynuację. Wychodzący przez czas jakiś „Kurier Lubelski”, początkowo właśnie pod redakcją Czechowicza, poświęcał bardzo wiele miejsca sprawom literackim, coraz to urządzano wieczory w samym Lublinie i w sąsiednich miastach powiatowych: Chełm, Krasnystaw, Lubartów - coraz to ukazywały się efemerydy periodyków, jak „Trybuna”, „Barykady”, „Dźwigary”.

To wtedy Czechowicz „odkrył” Michalskiego. Bronek drukował już to i owo w dodatkach literackich prowincjonalnych pism, nie miał jednak jeszcze debiutu książkowego, nie bardzo wierzył we własne siły, zachowywał się nad wyraz skromnie. Na którymś z posiedzeń „Łoży Wielkiego Uśmiechu”, która akurat wtedy powstała i zbierała się w cukierni Semadeniego, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica, Czechowicz zjawił się w towarzystwie wybitnie przystojnego bruneta o rozwichrzonej, kędzierzawej czuprynie i melancholijnym spojrzeniu. Zmusił go do przeczytania kilku wierszy, po czym wstał i zwrócił się uroczyście do zebranych: „Panowie, czy po tym, cośmy usłyszeli, mogę oświadczyć: Ecce poeta?!”. Od tego popołudnia Michalski stał się nieodłącznym towarzyszem naszych zebrań.

O Henryku Domińskim nikt z nas wtedy jeszcze nie słyszał. Dopiero w jesieni 1932 roku zjawił się w redakcji „Kuriera Lubelskiego” chudy i długonosy, niemal przezroczysty od niedojadania młodzieniec i wręczył mi wiersz, prosząc o przejrzenie: „Jeżeli pan uzna, że nadaje się do druku...”. Uznałem, że po paru poprawkach nadaje się, i wydrukowałem. Chyba to był jego debiut, a nie w „ABC”, jak podaje Szymański. Domiński pisał wiersze jakby „na siłę”, w każdym razie bardzo rzadko, długo je w sobie nosząc i poddając wielokrotnym poprawkom. Męczył się w niepewności, czytał gorące jeszcze teksty kolegom, radził się... Z lubelskiej paczki był bodaj najbardziej „czechowiczowski”. Niektórzy mawiali żartem, że wiersze pisze z ambicji, bo uparł się, że także potrafi. Myślę, że był lirykiem wtórnym, bez wyraźnej indywidualności; gdyby nie zginął tak młodo - dwadzieścia osiem lat! - miałyby zapewne poważne szanse w prozie i krytyce literackiej.

Wszystkie publikacje o „wspólnym pokoju” i Czechowiczu, że wymienię wspomnianą już końcową partię „Ballad przed burzą” Wiesława Szymańskiego. „Portrety i zapiski” Stanisława Piętaka, „Cyganerie” Wacława Mrozowskiego, także esej o Czechowiczu Czesława Miłosza z tomu „Kontynenty”, grzeszą brakiem uwzględnienia okresu 1930-1934, lubelskich preliminariów przed przeniesieniem się do Warszawy. Czechowicz w tych latach porastał w pióra literackie a następnie finansowe; dla Michalskiego i dla mnie był to czas zdobywania ostróg poetyckich, dla Domińskiego wczesnego terminowania. Władysław Podstawka, syn chłopca z pobliskich Jakubowic Końskich,

świeżo upieczony maturzysta, trzymał się na razie na uboczu, miał doszlusować nieco później, chociaż aż do końca pozostał wolnym strzelcem, zjawiającym się nieczęsto i w najmniej spodziewanych chwilach.

Co nas wszystkich łączyło w dość sennym, mimo uniwersytetu i licznych instytucji kulturalnych, środowisku prowincjonalnym? Czy tylko bezpośrednie sąsiedztwo? Żeby zapukać do okna pokoju Czechowicza, wystarczyło skręcić ze Staszica na Radziwiłłowską, skąd do redakcji „Kuriera” było sto kroków, do Semadeniego - trzysta. Obijaliśmy się o siebie na każdym kroku, jakże więc nie miało dojść do zbliżenia.

Ale nie tylko to. Ambicje osobiste ludzi o tak bardzo odmiennych indywidualnościach znajdowały wspólny mianownik w zamiłowaniach regionalnych, w sentymencie do miasta urodzenia, czy chociażby tylko zamieszkania. To dlatego Lubelski Związek Pisarzy, powstały po długim i skomplikowanym porodzie, nie miał nic wspólnego z centralnym Związkiem Zawodowym, był niezależną, regionalną organizacją. Gdyby nie wyjazd na stałe najwybitniejszych jego członków, miałby wiele w Lublinie do działania. Niestety, stary gród trybunalski nie dawał możliwości utrzymania się z pióra, Warszawa była nadal swoistą pompą, która żarłocznie wysysała prowincję. Nie tylko lubliniacy, również wybitni wilnianie (Miłosz, Zagórski) ulegli zachłanności stolicy.

Emigranci nie zrywali jednak kontaktu ze Związkiem. W rok po wyjeździe Czechowicza ukazał się zbiór wierszy o Lublinie, pt. „Stare kamienie” - owoc współpracy poetyckiej z seniorką pisarzy tego miasta, Franciszką Arnsztajnową. Zwoływano się od czasu na wspólne wieczory autorskie, dawna współpraca przypominała się na łamach „Antologii poetów lubelskich”, zredagowanej przez znanego bibliofila i historyka, księdza Ludwika Zaleskiego, który akceptował i lubił tytuł proboszcza parafii poetyckiej, „bez rządu dusz”, jak sam skwapliwie podkreślał.

Wspomniani już Podstawka i przybyły z Chełma Zdzisław Popowski reprezentowali młodsze pokolenie. Na uniwersytecie powstała grupa poetycka o dużych pretensjach, lecz niewielkich możliwościach. Związana z młodzieżą narodową i z jedną z wielce nobliwych korporacji, boczyła się wyraźnie na Związek. Tylko jeden z nich, Jerzy Szczepowski, był autentycznym poetą w stadium fermentu i poszukiwania. Była to interesująca zapowiedź wkrótce przecięta kulą sowieckiego mordercy w lasku katyńskim. Niewiele młodszy od niego Jerzy Pleśniarowicz, kijowianin z pochodzenia przeniósł się zaraz po maturze do Warszawy na studia. Wojnę przeżył, ale do liryki, zdaje się, już nie powrócił.

„Loża Wielkiego Uśmiechu”, zbierająca się niemal codziennie przy marmurowych stolikach u Semadeniego, a w niedzielę u Rutkowskiego, nie składała się z samych poetów. Początkujący artysta-malarz, kandydat na rzeźbiarza, aktor z powołania, który nigdy na scenę zawodową nie wszedł - mieli obok nas pełnoprawne miejsce i głos. Nie brakowało kibiców, w dość kapryśnym i często zmieniającym się składzie. Rodziły się przyjaźnie - niektóre z nich miały przetrwać długo.

Jedna z legend głosi, że wszyscy z „kręgu czechowiczowskiego” byli przyjaciółmi autora

„W błyskawicy”. To nieprawda, naturalnie, jeśli brać słowo „przyjaciel” na serio. W owych lubelskich latach byłem bardzo blisko Czechowicza, a jednak nie zamierzam twierdzić, że istniała między nami kiedykolwiek prawdziwa przyjaźń. Po prostu pasowaliśmy do siebie jak pięść do nosa, a jest to zbyt dobre sąsiedztwo.

Czechowicz nie był w poźyciu człowiekiem łatwym. Wbrew łagodnym pozorom odznaczał się wielką apodyktycznością. Ułożył wierszem żartobliwą listę członków loży i o sobie napisał: „Dusze chce łowić Józef Czechowicz”. Tego rodzaju łowcy każdą schwytaną duszę chcą prowadzić na smyczy, choćby nawet jedwabnej (...)

Sprowadziliśmy się na Dobrą w pierwszych dniach maja, przykładowo zapłaciwszy za miesiąc z góry. Komorne wynosiło 60 złotych, po dwadzieścia od łebka, z tym że mieliśmy prawo korzystać z prymusa i niejakich posług gospodyni, Rozalii Sawickiej, która w opinii komentatorów i wspominkarzy była stręczycielką i lichwiarką, albo znów awansuje do roli „dobrego ducha” niesfornych lokatorów. Ani jedno ani drugie. Stary Tartuffe w spódnicy, z rączkami nabożnie złożonymi na brzuchu, dość głupia i nieco rozwydrzona baba, nie stroniąca od nikłych uciech, jakich mogła jeszcze skąpo zaznać od życia, lubiła nas po swojemu, a najbardziej Bronka Michalskiego, nacierpiała się też z naszej przyczyny niemało. Niekiedy próbowała zarywać, ale bez powodzenia, przeciwnie, sama padała ofiarą stałych zapewnień: „Niech Różia zaczeka do następnej wypłaty...”. Bała się tylko mnie, a zresztą tylko ja płaciłem regularnie, bo zarabiałem znacznie więcej niż reszta.

Z niektórych wspomnień czytelnik może odnieść wrażenie, że prawie cały czas mieszkańców „wspólnego pokoju” pochłaniały libacje alkoholowe. Po literackiej Warszawie krążyły wersje, jakoby zakasowaliśmy nawet „wspólny pokój” nr 1, uwieczniony w słynnej i osławionej powieści Zbigniewa Uniłowskiego. Ano co tam gadać, od kieliszka wódki nikt z nas nie stronił, ani przedtem w Lublinie, ani potem na Dobrej, z wyjątkiem jednego Czechowicza, który rzadko tylko, od wielkiego dzwonu, przekraczał granicę dwóch-trzech kolejek. W okresie „Reflektora” również nie pijał, jeśli wierzyć świadkom, choć były to lata - dla mnie jeszcze sztubackie - stojące pod znakiem „Ody” Konrada Bielskiego. Znana była w Lublinie szeroko i w wiele lat później.

*W Paryżu Wezuwiusze szampana tryskają w górę,  
na Ukrainie piją spirytus i politure,  
po dwóch butelkach Murzyn jest przyjacielem Anglika...  
Jeden jest duch alkoholu od zwrotnika do zwrotnika.*

*O, najpiękniejsza z chorób, biała gorączko!*

„Odę” wydrukowałem jeszcze w roku 1932 w pierwszym numerze lubelskiego miesięcznika „Barykady”. Znalazła się w towarzystwie wiersza Stanisława Grędzińskiego o romansie diabła z urodziwą dziewczyną, oraz „Erosa i Psyche” Czechowicza. Na domiar złego dałem na wkładkę litografię Witolda Chomicza (dziś profesor w Krakowie), przedstawiającą kościół Bernardynów. Tkwiła w tym zarówno chęć zbiccia z pantaląku pana cenzora, jak i prowokacyjna przekora

w stosunku do miejscowych marksistów, oskarżających mnie o brak „wykryształowania”, bo poza tym treść numeru była skrajnie lewicowa. Cenzura dała się wodzić przez krótki czas, następne numery „Barykad” uległy konfiskacie (za jeden dostałem rok, za drugi dwa lata, zawieszono w apelacji); ortodoksi zaś odezwali się w jednodniówce, ostro zmywając mi głowę. „Eros i Psyche?” - dziwił się anonimowy choć znany mi dobrze autor - I cóż ta para ma do roboty na barykadach?”

Relacje z naszego alkoholizmu były jednak mocno przesadzone. Michalski wpadł w nałóg, który po roku doprowadził go samobójczej śmierci, w końcowym stadium istnienia „wspólnego pokoju”, gdy ja bywałem w nim tylko rzadkim gościem. Na codzienne pijaństwo nie starczyłoby zresztą pieniędzy. Zupełne banialuki opowiada na ten temat Mrozowski w „Cyganerii”. Ciekawe, że trzech wymienionych powyżej książek: Mrozowskiego, Szymańskiego - najuczciwsza, choć miejscami bardzo nieścista jest książka właśnie Szymańskiego, które informacje czerpał z drugiej, lub trzeciej ręki, zaś z większością mieszkańców Powiśla w ogóle się nie zetknął, bo już nie żyli.

„Pamiętnik Mrozowskiego - pisze w posłowie do „Cyganerii” jej lubelski wydawca - należy traktować jako literacki dokument epoki, pewnego rodzaju „spowiedź dziecięcia wieku” zbeletryzowaną kronikę mieszkania przy Dobrej 9. Autor prostuje i wyjaśnia wiele fałszywych sądów i faktów, związanych z historią „wspólnego pokoju”, jego mieszkańcami i gośćmi”. Wydawca informuje ponadto, że książka „ze względu na obfitość materiału, kompozycję i inne względy, została poważnie zredukowana i czytelnik otrzymuje właściwie pewną część wspomnień autora”. Po przeczytaniu „Cyganerii” nie trudno zdać sobie sprawę co by to było, gdyby nie dobroczynny ołówek wydawcy.

Na dwa lata przed swoją tragiczną śmiercią Stanisław Piętak wyrwał się na krótką eskapadę do Paryża. Przysłał mi stamtąd dwa ostatnie tomiki wierszy i długi, serdeczny list, wspominający dawne czasy. „Mrozowski - pisał między innymi - przygotowuje dużą rzecz o nas wszystkich. Dał mi do przejrzania czego on tam nie ponawypisywał, zwłaszcza o tobie! Staralem się to i owo skorygować, ale to beznadziejna robota”.

Według Mrozowskiego, na Dobrej piło się właściwie co dzień. I to jak! - nie jakąś tam zwykłą wódkę - z reguły wódki gatunkowe. „Wyjął z kieszeni pół litra cytrynowki” (str. 57). „Napijemy się, co? Mam tu jakiś spirytusik!” (str. 61), „nalewałem jakąś słodką wódkę” (str. 75), „wróciłem niebawem z żytniówką” (str. 68). I tak stale. A francuskiego koniaczku i szampana nie było? Oczywiście bzdury! Piło się czystą wyborową a jeżeli z pieniędzmi było bardzo źle, Rozalia przynosiła butelkę z „granatową kartką”. Bronek Michalski zaczął z czasem, gdy już zjawiały się pierwsze groźne oznaki delirium tremens, upijać się spirytusem, było to jednak znacznie później. Oczywiście, nie ma większego znaczenia, czy piliśmy zwykłą wódkę, czy żytniówkę, ale różnica ta świadczy jak bardzo Mrozowski fantazjuje i mija się z prawdą nawet w drobnych, obyczajowych szczegółach.

Gdyby pijaństwa były tak regularne, jak to z wielu relacji wynika, kiedyż byśmy mieli czas na pracę? A przecież owego lata Piętak wykończył do druku swój pierwszy tom, „Alfabet oczu”,

żmudnie szlifując wiersze w ostatecznej redakcji, czytał, powstawały pierwsze fragmenty z „Legend dnia i nocy”, próby prozy, z których później wykluła się „Młodość Jasia Kunefala”. Usilnie pracował nad sobą Domiński. Gdy go poznałem w jesieni 1932, był to niedokształcony żółtodziób, chciwy wiedzy i życia, pod pozorami skromności kryjący duże ambicje. Zdawał sobie sprawę z olbrzymich braków i nadrabiał je szybko, może w chaotyczny, źle zorganizowany sposób, ale z konsekwentnym uporem. Już w rok po śmierci Bronka i zlikwidowaniu wspólnego pokoju, na łamach „Kuriera Porannego” zaczęły ukazywać się jego recenzje literackie, coraz lepsze i o coraz solidniejszym podkładzie niewątpliwej erudycji. Tego zaimprovizować nie można. A więc wódkę zagryzał nie tylko serdelkami i jajecznicą, ale również lekturą książek, których obecność dawała się odczuć z każdym rokiem. Było tych książek więcej niż butelek.

Co do mnie... Co raz to wypadałem do Lublina, skąd robiłem i piesze wycieczki do Krasnystawu, Zamościa, Chełma... Uprawiałem sport - intensywnie, choć niesystematycznie. W jesieni założyłem miesięcznik „Dźwigary”, co kosztowało mnie sporo pracy i jeszcze więcej wysiłku finansowego, który znowu był wynikiem pracy zarobkowej. Wkrótce zacząłem brać żywy udział w działalności Związku Pisarzy Lubelskich i przez jakiś czas byłem jego prezesem. Przygotowałem i wydałem tom wierszy „Rozmowa z ojczyzną”, oraz przekłady z rosyjskiego „U przyjaciół”. Do tego dochodziły prace i zajęcia bardziej osobistego charakteru. To wszystko w ciągu niespełna roku. A tu z niegdysiejszych wspomnień okazuje się, że chodziłem bez przerwy pijany!

Z Michalskim było gorzej, ale to osobny temat. Natomiast Mrozowski istotnie wałkonął się i cała jego działalność literacka w ciągu sześciu lat (1934-1939) ograniczyła się do jednego szczupłego tomiku wierszy pt. „Dobranoc... dobranoc...”. Zajmował się innymi sprawami, raczej oddalonymi od zainteresowań pisarskich. Pamiętam, że gdy Domińskiego ktoś zagadnął o przybysza z Chełma, odpowiedź brzmiała zazwyczaj następująco: „Dobranoc, dobranoc, do widzenia, znam inne tematy...”.

Swego rodzaju opiekunem gromadki z Dobrej stał się od pierwszej chwili Józef Czechowicz. Ze Smulikowskiego, gdzie w gmachu Związku Nauczycieli miał swoje mieszkanie<sup>1</sup>, było do nas dosłownie sto kroków. Nie ma racji ani Jan Śpiewak, napisał że „do wspólnego pokoju Czechowicz nigdy prawie nie zaglądał”, ani Roman Rosiak, gdy twierdzi, iż „był on niemal codziennym gościem”. Ani jedno ani drugie. Po prostu zaglądał dość często. Nie musiał windować się na drugie piętro - po schodach chodzić nie lubił. Przecież było lato, drzwi od balkonu stale otwarte, wystarczyło zawołać z ulicy.

Czechowicz wywierał bardzo duży wpływ, jako poeta i na Domińskim i Piętaku, chociaż z czasem, gdy nieco podrośli i opierzyli się, potrafili zdobyć się na stosunek krytyczny do mistrza. Po Michalskim w owym czasie wszelkie wpływy ześlizgiwały się, żył własnym, bardzo trudnym

---

<sup>1</sup> Myli się Szymański, pisząc, że na Smulikowskiego Czechowicz mieszkał w „wysokiej suterenie”. To był wysoki parter. Pamiętam doskonale że aby zapukać do okna, trzeba było - przy średnim wzroście, jak mój, wspiąć się na palce. W pół-suterenie mieściło się mieszkanie na Narbutta.

i bolesnym życiem wewnętrznym, i ta izolacja zapewne przyspieszyła nieuniknioną katastrofę. Ze mną było inaczej. Cenilem autora „Ballady z drugiej strony” bardzo wysoko, ale rozumiałem, że jego tor poetycki prowadzi w kierunku dla mnie obcym i niewłaściwym. Prawa do arbitralnych posunięć mu nie przyznawałem, do roli giermka nie nadawałem się, pewne postawy i nawyki odrzucałem kategorycznie. Toteż w późniejszych latach stosunki nasze - wówczas przyjazne, nie przyjacielskie - znacznie ochłodziły i mało brakowało, a byłoby doszło do otwartego zerwania.

Jaką właściwie rolę odegrał? Był znacznie starszy, wyjąwszy Michalskiego, od każdego z nas: sześć do dziewięciu lat to w tym wieku poważna różnica. Gdy inni dopiero zaczynali, miał już ustaloną pozycję pisarską. Orientował, sugerował w sposób nie natarczywy, pożyczał książki, wprowadzał jakiś ład do wiedzy literackiej młodych, przeważnie słabo zaopatrzonych w bagaż intelektualny poetów. Ułatwiał debiuty i współpracę, chętnie służył pomocą finansową, zresztą w skromnej skali i dość kapryśnie, to znaczy nie zawsze wtedy, gdy była najbardziej potrzebna. Ale jednocześnie zarażał własnymi urazami i kompleksami, na przykład, doprawdy zbyt już przesadzoną niechęcią do skamandrytów.

Wyglądało to dość zabawnie, gdy taki młodzik, idąc za przewodem mistrza i mentora, przekreślał za jednym zamachem Lechonia czy Słonimskiego, w najlepszym razie udzielając amnestii niektórym wierszom Tuwima. Wkrótce po powstaniu „wspólnego pokoju” zjechał triumfalnie do Warszawy Tadeusz Hollender, zdobywca pierwszej nagrody na konkursie mickiewiczowskim „Wiadomości Literackich”. Miotał się między stołem i kanapą, w oburzeniu nie mogąc dopiąć szelek, i wychodził ze siebie. Właśnie Domiński „zlikwidował” przed chwilą Wierzyńskiego. „Nie do wiary - wołał rozwścieczony Hollender - wszędzie wielki poeta, a w tym pokoju - grafoman!”. Domiński twardo stał przy swoim, zachwycony wywołanym wrażeniem.

Własnej szkoły, w sensie twórczej kontynuacji, Czechowicz nie stworzył, a liczni naśladowcy przynieśli mu więcej szkody niż chwały. Co prawda, trudno przesądzać; gdyby nie wybuch wojny, ośrodek, który zaczynał się koło niego krystalizować, być może, nabrałby z czasem cech określonego kierunku poetyckiego tym bardziej, że do liryków dołączyli młodzi, obiecujący krytycy.

Sam Czechowicz miewał często złudzenia. Najmocniej poczuł się w roku 1934. Wyszedł wtedy tom „W błyskawicy”, który ostatecznie utwierdził niewątpliwe przewodnictwo w poezji zwanej awangardową; miał poważne wpływy w „Pionie” i „Drodze”, zamierzał wydawać własne pismo. Doskonała sytuacja finansowa dała mu po raz pierwszy całkowitą niezależność i pewność siebie. „Mimo woli - pisał do Czernika - przez agresywność charakteru, osiedlenie się w Warszawie, zacząłem przewodzić awangardzie. Montuję teraz pismo literackie, miesięcznik typu „Drogi” tylko ściśle literacki. Poganiam Lubelski Związek, trenuję wileńczyków, do Krakowa sięgam. Przyboś chętnie się podporządkował, Czuchnowski również, a Piętaka po prostu sprowadziłem do Warszawy. Rozruszam ich - nie ma obawy”.

Z tych buńczucznych zapewnień ani jedno nie odpowiadało rzeczywistości. Nie rozruszał po

swej myśli nikogo, każdy poszedł własną drogą, rzadko tylko równoległą do drogi Czechowicza. Wbrew pozorom, mimo liczego dworu, pozostał samotnikiem aż do końca, jak nim był, kiedy w małym lubelskim mieszkanku przy Radziwiłłowskiej pisał gorzkie wiersze o zbliżającej się śmierci.

(D. c. n.)